Nr. 5. **1. Marca 1872.** **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.



PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wybór i koronacya króla Władysława Zygmunta.

(Dokończenie).

Z powodu zimnicy król Władysław spóźnił swój odjazd o dni kilka. Dopiero kiedy ozdrowiał, wybrał się na koronacyę. Koronacya ta odbyła się, jak zwykle, w Krakowie, a to dnia 2. lutego 1633 roku po narodzeniu Chrystusa Pana. Już przy wjeździe królewskim do tego starożytnego miasta rozpoczęły się wspaniałe uroczystości. Miasto przystroiło się i odnowiło. Ludzie poubierali się jak od święta. Nadszedł wreszcie upragniony dzień, a wszystko co żyło wybiegło za miasto. Było też na co się popatrzyć. Przodem szło trzystu mieszczan krakowskich jednakowo ubranych w pięknych, niebieskich, jedwabnych sukniach, dalej szlachta na koniach, na każdym pełno złota i drogich kamieni, wreszcie wojsko. Między wojskiem znowu najpiękniejszy był oddział królewski. Chłop w chłopa, jak dęby, na rosłych koniach, w czerwonych mundurach z złotemi wyszyciami, a przez plecy skóra tygrysia. Za tem wojskiem jechał dopiero król na ślicznym koniu, a koło niego tłum senatorów, wojewodów, kasztelanów i innych wysokich urzędników.

Możecie sobie wyobrazić, co też tam było wojska, szlachty i narodu, kiedy jak zaczęli iść a iść, to szli od 11 godziny rano, aż do 6 wieczorem. Kiedy król dojechał do kościoła świętego Floryana, witali go profesorowie akademii krakowskiej, najwyższej szkoły, jaka w Krakowie się znajduje. Ztamtąd jechał król dalej, a kiedy wjechał w bramę floryańską, zagrzmiały wszystkie armaty na znak, że król już wjechał do miasta. Przy wjeździe w rynek wystawiona była śliczna brama, umajona choiną i ozdobiona różnemi napisami. Na bramie był przymocowany, sztucznie bardzo zrobiony, orzeł biały, który głowę ku królowi nachylał i skrzydłami ruszał, a skoro król przejechał, obrócił się za nim. Władysław wjechał do pałacu, a zsiadłszy z konia, udał się piechotą do kościoła św. Stanisława, gdzie długi czas nabożnie się modlił. Na dzień przed samą koronacyą, idąc za dawnym zwyczajem, odbył w tymże samym kościele spowiedź i przyjął komunię świętą. Nadszedł wreszcie tyle upragniony dzień koronacyi. Koło godziny dziesiątej rano wyszedł król Władysław piechotą ze swego pałacu. Przed nim postępowali senatorowie, za nim poseł wysłany od Ojca świętego i inni posłowie od różnych cudzoziemskich królów i książąt. Odezwały się na raz wszystkie dzwony Krakowa. Przed drzwiami kościoła czekali na króla: biskup kujawski i poznański, i wszyscy księża krakowscy. Zaprowadzono króla do pobocznej kaplicy, i tam Władysław przebrał się w uroczyste szaty królewskie. Potem stanął przed wielkim ołtarzem i rozpoczęła się koronacya. — Kościół cały był nabity. Pełno było panów, szlachty i mieszczan, a wszyscy w świątecznych strojach. Prymas, to jest arcybiskup poznański, namaścił go olejem świętym, potem włożył mu na głowę koronę, a w rękę dał berło i jabłko. Król dobył z pochwy miecza i machnął nim trzy razy w powietrzu, na znak, że bronić będzie Polski i świętej wiary katolickiej. Wystąpili wtedy obydwaj marszałkowie, polski i litewski, i ogłosili ludowi, iż koronacya już się odbyła. Wszyscy zaczęli wychodzić z kościoła, a król ze senatorami, posłami cudzoziemskimi, wojewodami i kasztelanami, szedł na zamek, gdzie już był wielki obiad przygotowany. Przez cały czas obiadu

siedział król w uroczystym ubiorze z koroną na głowię. — A obiad też ten, jak sami poznacie łatwo, nie był tam lada jaki, kiedy trwał od trzeciej po południu, aż do ósmej wieczorem.

Tak to dawniej obierano i koronowano królów polskich. Opisałem to wam pokrótce, boć wszystko, co się dawniej działo na tej ziemi, gdzie mieszkamy, która nas żywi i okrywa, powinniśmy wiedzieć. Może kiedyś później opowiem wam jeszcze, co też ten król zrobił dla narodu, gdzie wojował i jak panował.

Paweł z pod Rudek.

Król Władysław Łokietek i Wicek Szamotulski.

(Napisał ks. Wojciech z Zaleszan).

(Dokończenie).

Ale dziaduś powiada:

— Ja tu nie przychodzę po prośbie, bo ja mam z łaski Boga i króla naszego na tyle do życia; jeno przebąkują sobie ludziska nasi, że coś się źle robi na ziemi polskiej, i to pono na waszą zgubę, nasz królewiczu! Otóż wysłali mię tu polscy chłopi do was, aby was przestrzedz przed tym niedobrym Wincentym i tymi Krzyżakami Niemcami, co to mają ubranie białe, jak nie przymierzając jacy anieli, i krzyż wielki wyszywany niciami czarnemi na piersiach, a to pono nie są ani księża, ani zakonnicy, ani dobrzy wojacy, ani pobożni ludzie, jeno krzywdziciele i napastnicy, jakich świat nie widział.

Królewicz rozpłakał się na to, że są tacy dobrzy, życzliwi i pobożni polscy kmiecie, i pyta się dziadusia zaraz:

— I cóż to takiego gadają sobie Polacy o Wincentym i Krzyżakach?

A dziaduś mu powiada:

— Cóżby innego, jak nie to, że się mieli zmówić z tym zażartym Wincentym ci niedobrzy Krzyżacy i mają pono napaść na wasz dwór i zrabować go albo spalić, a was mają posadzić na konia i zawieść daleko od ojca i matki, gdzieś tam

aż do morza, aby za wami płakali ojcowie wasi i pomarli z utrapienia wielkiego, i abyśmy znowu płakali za wami, że wam taką krzywdę zrobili niewinnie, ci niedobrzy ludzie!

Królewicz Kazimierz pogłaskał dziadka i gada:

— Bóg wam zapłać za to, moi polscy kmiecie, że stoicie tak o waszego króla. Kiedy ja będę królem po ojcu, to ja wam to wszystko odpłacę w dziesięcioro! A teraz idźcie sobie do domu, a ja się także zabiorę do Krakowa, aby mi się co złego nie stało od tych niedobrych ludzi.

I uciekł szczęśliwie królewicz przed czasem do Krakowa, a ów Wincenty w zmowie z Krzyżakami narobił tyle psoty i złego w Wielkopolsce, że razem jakie dwadzieścia miast spalili i drugie tyle wsi i folwarków.

Kiedy się o tem wszystkiem dowiedzieli Polacy, że to ów Wincenty narobił tyle biedy i nieszczęścia, i to przez złość na króla starego, to wszyscy gadali:

— A to mi dopiero zdrajca i Judasz drugi, ten Wincenty Szamotulski! to on chciał wydać Krzyżakom naszego królewicza! Jemu się zachciało być królem, aby nas krzywdził z Krzyżakami, aby nas potem zaprzedał tym Niemcom! To on sobie ułożył w swej głowie, abyśmy z Polaków przeszli pomału na Niemców i szwargotali potem po nijakiemu, i chodzili kuso, i zapomnieli na dziadków naszych, co tu leżą na polskich cmentarzach i tu pomarli jak prawowierni Polacy!

Tak wyklinali na tego Wincentego, co się wlazło, a drudzy znowu dogadywali:

— Ani do niego gadać, ani na niego pozierać, ani go powitać nie trzeba, jak gdzie kogo spotka—a gdyby umarł na polskiej ziemi kiedy, to takiego zdrajcę nie pochować między Polakami, jeno go wywieść gdzie za dziesiątą granicę, i tam go wronom i krukom do żarcia zostawić.

Ale inni radzili tak:

— Chodźmy do króla, aby nam dał wojsko jakie na ratunek, bo inaczej wygubią nas do jednego ci Krzyżacy i ten Wincenty z nimi!

I poszli do starego króla Łokietka, do Krakowa, i tam stanęli i gadają:

— Królu i ojcze nasz! ratuj naszą pracę, bo zginiemy bez twej pomocy!

A król stary powiada im:

— Koło świętego Michała, jak sobie pozbieracie z pola wszystko, to ja tam przyjdę z wojskiem, abyście nie mieli szkody na polu od koni. A z tym Wincentym tak zrobimy: Nie trzeba go wyklinać, ani palcem tykać, ani potępiać z ciałem i duszą, bo to niedobrze i złego tem nie naprawisz, jeno trzeba z takimi mile i cicho i po ojcowsku robić, a to ich najprędzej poprawi. Ja sam poszlę po tego Wincentego, aby przyjechał do mnie i pogadam sobie z nim pięknie i łagodnie, i daruję mu wszystko, skoro Bóg uratował moje dziecko jedyne od zaguby. Zobaczycie, że Wincenty padnie mi do nóg, że będzie płakał ze wstydu i żalu, że będzie potem najlepszym Polakiem.

Ale Polacy wołają na króla:

— Gdy już sam rodowity Polak będzie stał na zdradzie drugiemu Polakowi, i jak go za to nie ukarzą, to co to będzie z tego?

A król stary mówi słodziutko:

— O! niech Bóg obrania, aby Polak Polaka sprzedawał, aby mu stał za plecyma na zdradzie—takiego niech Bóg sam sądzi, ale ja stary dziad, i już bliski grobu, i bliski sądu bożego, nie chcę potępiać nikogo, jeno chcę dobrym spobem naprawić złe i uratować duszę zgubioną Wincentego niedobrego.

I odeszli Polacy do domu, a król po żniwach wyszedł z wojskiem polskiem i królewiczem na Krzyżaków i na Wincentego zdrajcę, co był w zmowie z nimi.

A skoro już król był gotów do wojny, wtedy posłał do Wincentego Szamotulskiego, aby się stawił do niego, i obiecał, że mu nic złego nie zrobi. Wincenty też na słowo króla przybył, stanął nieśmiały, oczy spuścił na dół, głowę zwiesił, a rękami zatkał sobie całą gębę i nie spozierał na nikogo. A król mówi mu słodziutko:

— Widzicie Wincenty jenerale! Ja wam dał kawałek taki chleba, ja się spuściłem na wasze sumienie polskie, ja

oddałem w opiekę waszą moje dziecko jedyne, a wyście się tak odpłacili? Ale ja stary i nad grobem, nie chcę was potępiać: oto upamiętajcie się, uciekajcie do swoich od tych Krzyżaków, bo to najlepiej między krajanami, a nam pomóżcie, ayśmy wyczubili doskonale tych rabusiów, aby nie załazili na polską ziemię i na rozpustę do nas Polaków.

I rozpłakał się zdrajca Wincenty, klęknął na kolana, złożył ręce, podniósł oczy do nieba i zawołał do króla, do królewicza i do wojska:

— Oto, zgrzeszyłem strasznie, żem się wdał w zmowę z cudzymi ludźmi na zagubę królewicza i kraju polskiego. Boże daruj mi! Królu wybacz mi! i wy Polacy darujcie mi!

Wtedy odpuścił mu król i wszyscy; Wincenty zaprowadził króla na Krzyżaków, i pobili tam pod wsią Płowcami tak Krzyżaków Polacy, w dniu przed wilią ś. Michała r. 1331, że ledwo który żywy uciekł.

A król stary powiedział potem:

— Nie potępiajcie nigdy niewinnie nikogo, nie potępiajcie i winnych, to i was Bóg i ludzie nie potępią nigdy.

Zamek Odrzykoński.

(Dokończenie).

Znów inna powiastka:

W Krośnie pokazują dotąd groby Oświęcimów w kościele OO. Franciszkanów. Jest tam nad lochem kaplica, w niej są obrazy rodziny Oświęcimów, a między niemi Stanisława i jego przyrodniej siostry Anny.

Powiadają, że Stanisław wysłany w dzieciństwie do szkół zagranicznych, zostawił Annę w kolebce.

Gdy powrócił za lat kilkanaście po śmierci ojca, ujrzał ją najprzód w gronie rówienniczek, a nie wiedział, że jest jego siostrą. Zrobiła na nim niewymowne wrażenie. Kiedy się dowiedział o pokrewieństwie, bardzo podobno rozpaczał,

pomimo to nie chciał odstąpić od pierwszej myśli: ożenienia się z nią.

Podali o pozwolenie do Rzymu, ale to nie nadchodziło.

Stanisław udał się osobiście do Rzymu; czynił tam najusilniejsze starania, ale że szło mu trudno, więc nic pomyślnego nie mógł donieść narzeczonej. Nareszcie listy od niego dochodzić przestały.

Ze zgryzoty życie Anny z każdem ulatało tchnieniem.

Razu jednego, gdy siedziała przy krosienkach i zajmowała się haftem, wyszywając pas dla swego kochanka, wpada goniec, i przynosi jej list. Ona łamie pieczęć, czyta i pada zemdlona.

List zawierał tyle upragnione pozwolenie na jej związek ze Stanisławem. Zbytnia rodość ze szczęścia, którego się nie spodziewała, złożyła ją na łożu boleści.

Wkrótce Stanisław powrócił z włoskiej stolicy. Już noc była, gdy zatrąbił u bramy zamkowej.

— Siostra moja — rzecze — nie śpi jeszcze zapewne.... prowadźcie mię do niej!... chcę jej sprawić uciechę niespodzianą.

Domownicy nic nie odpowiedzieli, milcząco szli za panem, i tylko z piersi podeszłego wiekiem marszałka wydobyło się głuche westchnienie.

W sali rycerskiej płoną światła i rzucają łunę przez różnokolorowe okna nad drzwiami.

Do sali tej wiodą Stanisława.

Stanisław wstępuje i staje jak piorunem rażony na widok mar jarzącemi okolonych świecami, i komnaty w czarne sukno przybranej.

Na marach widzi swoją Annę z rozmarynową gałązką we włosach, a przy niej dwie zapłakane dziewice, w żałobę odziane.

Rozstając się ze zwaliskami w Odrzykoniu, nie podobna nie wspomnieć o „Prządkach.“

Naprzeciw zamkowej góry jest druga, równie wysoka, oddzielona od tamtej lesistym parowem, a na niej ogromne,

jakby piętrowe domy: Kamienie białe, śliczne, w najrozmaitszych kształtach, „Prządki“ zwane, o których tak starzy ludzie opowiadają;

Niegdyś zuchwałe prządki ośmieliły się pójść z kądzielą do lasu w dzień świąteczny, i w czasie mszy św. skamieniały. Kamienie ich trupów rosną ciągle, i widać je już o mil dziesięć na postrach bezbożnym.

Ziemia w tej okolicy skalista, nieurodzajna, nawet owsa wydawać nie chce. Lud opowiada, że i to jest również karą za niewdzięczność ku Bogu:

Przed wiekami stała na tem miejscu wieś bogata, szczęśliwa, mlekiem i miodem płynąca. Ale mieszkańcy jej odpłacali się Bogu najczarniejszą niewdzięcznością. Cała osada była zgorszeniem dla sąsiadów, miejscem zbrodni, bezbożności i rozpusty. Pan Bóg nie mogąc doczekać się poprawy, zesłał straszną karę dla przykładu całego kraju: ziemia się rozstąpiła i pochłonęła tę Sodomę, a na miejscu zamożnej i ludnej wioski, został tylko grunt skalisty, który później zarósł lasem i manowcami.

Gdy raz przelatywali tamtędy aniołowie, zapłakali nad potępionem siołem, a łzy ich ciekące kamieniały.

W święta lud odrzykoński krąży między ruinami zamczyska, jako i między „Prządkami“.

Lud kocha te rumowiska, te kamienie. Owe gadki są to wielkie prawdy ludowe; wierny starodawnym przypowieściom wyciąga on z nich moralną naukę.

NĘDZA.

Jak zimno matulu. — Utulcie się dzieci
Bóg dobry, narzekać nie trzeba!
Powróci wasz ojciec i ogień roznieci,
Białego przyniesie wam chleba.
Jam chora widzicie, lecz zwlokłam się z łoża
I znoszę cierpliwie, wszak w tem wola Boża,
Nie płaczcie, bo czuwa Pan nieba.

Dziecino kochana, tyś chora i drżąca
Spójrz na mnie, uśmiechnij się mile!
Rączęta jak z lodu, a główka gorąca
Ach czemże cię biedną posilę?
Przytulę do piersi mojego anioła,
Powróci nasz ojciec, lekarza przywoła,
Czekajmy on wróci za chwilę.

Na placu, gdzie lud się gromadzi roboczy
Stał człowiek ubogo odziany,
Wiatr mroźny ze szronem zasklepiał mu oczy
Rozwiewał podarte łachmany —
Lecz nikt nie zażądał słabego ramienia......
Padł wreszcie rozpaczą złamany.

W izdebce pod strychem bez skargi i jęku
Daremnie na niego czekali
I skonał chłopczyna na matki swej ręku
I ludzie trumienkę mu dali.
Więc będzie mu lepiej! Skrzydłami białemi
Już leci ku niebu aniołem z tej ziemi,
Lecz biada tym, którzy zostali!

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

(Ciąg dalszy).

Po tych słowach Marysia szybkim krokiem szła dalej i nie uważała, co powiedział Szymek.

— Ależ, co ci się przyśniło? — mówił on — ja nie Niemiec Marysiu, zkąd ci się to do głowy przybrało? ja nie Niemiec! Marysiu! zaczekaj, pogadaj, uciekasz jak gdybyś mnie więcej widzieć nie chciała.

Stróża się skończyła, bo już nadeszli nowi wartownicy gospodarze, kumowie i przyjaciele Podrywki: Wojtek Hebda i Jan Gubryś. Szymek i Maciej opowiedzieli im owe nocne widziadła i odeszli do domu. Ucieszyli się niezmiernie nowi wartownicy Jan i Wojciech, byli bowiem pewni, że w nocy musiała zajść bitwa i połów dzisiaj pójdzie wyśmienicie i pieniążki same wejdą do kieszeni. Nawet z Kaspra Podrywki,

kuma i przyjaciela poczęli już żartować, że o niczem nie wie, i nic nie zarobi.

Na pochwałę mieszkańców Podwala — tak się nazywała wioska, w której się to działo — trzeba jednak powiedzieć, że nie wszyscy byli tak źli i przewrotni jak Kasper Podrywka, Jan Gubryś, Wojtek Hebda i inni. Przeciwnie takich niedobrych i chciwych gospodarzy, coby to za grosz i rodnego ojca sprzedali, było bardzo mało. Ot zwyczajnie jak między ludźmi, byli uczciwi i nieuczciwi — ale zawsze tych ostatnich bywa mniej. Boć świat musiałby dawno już przepaść, gdyby więcej było złych jak dobrych ludzi. Tylko jak to w świecie bywa, przewrotni ludzie, co to mają nieczyste sumienie zawsze więcej krzyczą i hałasują, aby zagłuszyć robaka, co ich wewnątrz gryzie, i często się im uda, że i najpoczciwszych obałamucą. Tak też działo się i na Podwalu. Kiedy się zebrała Rada gminna, hałasowali i krzyczeli gospodarze najmniej uczciwi dopóty, dopóki na swojem nie postawili, a uczciwi i cnotliwi siedzieli w kącie, nie śmieli się odezwać, a choć im często coś niedobrem się zdawało, zagłuszeni krzykiem, zgodzić się musieli. Ale działo się to tylko wtenczas, gdy na zgromadzeniu Rady przewodził Podrywka, to jest, gdy Zawiślaka wójta nie było w domu. Ten zawsze mówił spokojnie i poczciwie, tak, że każdego chwytał za serce. Źli chowali się w kąt, gospodarze rzetelni nabierali odwagi — i tak wszyscy na końcu godzili się na to, co pan wójt powiedział: źli z przymusu, aby się złymi nie wydać, a dobrzy z całem sercem.

— Coś niedobrego się święci — powiadali gospodarze Podwala — Podrywka chodzi od chaty do chaty po swoich znajomych, i szepcze coś do ucha, i gada bezustannie, i rękami macha, i okulary poprawia — a tak jakoś sekretnie i cicho, że aż mory przechodzą do kości.

I wójt nawet coś zamyślony i jakoś ostro patrzy mu z oczu, i widać, że poczciwina wiele będzie miał roboty.

Marysia raniutko jakoś zadyszana przybiegła do chaty, szeptała coś po cichu ojcu do ucha — a ten to się uśmiechał, to całował swoją ukochaną córeczkę jedynaczkę, to znów przykładał rękę do czoła, a potem podparł głowę ręką i nad stołem długo myślał a myślał.

— Zawołaj Marysiu Szymka — niech zaprzęgnie konie, pojedziemy oboje na kępę.

— Tatusiu, tatusiu! ja się boję bardzo; tatusiu, nie jedźcie! ja się lękam jakiego nieszczęścia.

Ostro spojrzał Zawiślak na zafrasowaną twarzyczkę swojej jedynaczki, a potem powiada:

— A gdyby to był brat twój rodzony, a gdybyś była matką i on był twoim synem, czybyś się i wtenczas jeszcze bała?

— Oj nie! nigdy!

— Toć wiara nasza naucza cię, że każdy człowiek jest twoim bratem, a tem bardziej ten, który jednakową mową mówi, i ten, co wojował w obronie naszej wiary świętej.

— Tatulu kochany, toć ja tylko ciebie po Bogu najbardziej miłuję i o ciebie się bałam.

— Wiem zawsze, co robię, kochana Marysiu, a o mnie się nie troskaj.

Po tych słowach ucałował Zawiślak swoją jedynaczkę i jeszcze raz na nią się popatrzył.

Zapłakana Marysia pobiegła do Szymka, aby powiedzieć, co ojciec rozkazał.

— Czy ja mam jechać? — zapytał Szymek.

— Nie, tatuś ze mną pojadą — powiada Marysia — a nakazali ostro, abyś natychmiast zaprzęgał, bo się spieszą.

Marysia powróciła do chaty. Ojciec coś szybko chodził po izbie. Otworzył szafę, wyjął chleb i masło, i wyciągnął butelkę wódki, którą zaledwie raz do roku i to w nadzwyczajnym jakimś wypadku zwykł był wyjmować, ze skrzyni wydobył kilka bielutkich koszul, dwie płachty, nową płóciankę, kapelusz, następnie buty i inne rzeczy do ubrania. Wszystko to Marysia związała w płachtę; wyszli oboje przed chatę, gdzie już czekały zaprzągnięte konie i wsiedli na wóz. Za-

wiślak wziął bat do ręki, zrobił na ziemi znak krzyża i ruszył w drogę. Po chwili stanęli u kępy. Gęste zarośla z wikla rozciągają się po obu stronach Wisły, za niemi piasek przysypany kamykami, a dalej jak srebrna wstęga płynie nasza wspaniała polska rzeka. Znał Zawiślak wszystkie przejścia, drogi, ścieszki i ścieżyny wśród gęstych zarośli. Toć gdy mu córka paluszkiem wskazała, mówiąc:

— Tam tatusiu! — skręcił końmi na lewo i długiem kołem jechał wśród wikla. Stanął nareszcie; konie przywiązał, zsiadł z wozu, kazał Marysi wziąć zawiniątko i pokazywać drogę, a sam powoli szedł za nią, często upominając:

— Tu nie przejdziesz — na lewo droga.

Znowu po chwili mówi:

— Tam odparzelisko, wielkie bagno, trzeba skręcić na prawo.

Choć Marysia wprawdzie odkryła to, czego teraz oboje szukali, jednak inną teraz szli drogą, a Marysia nie znała dokładnie kępy. Spamiętała sobie tylko dobrze okolicę, a resztę w skutek przestrachu zapomniała.

— Tu, tu! tatusiu — woła Marysia na przedzie — tu go widziałam.

Zawiślak szybko odchylił krzaki i stanął wkrótce na miejscu.

Była to mała łączka, dokoła gęstą otoczona wikliną, z jednej tylko strony, od Wisły, otwarta. Na zielonej trawie widać było ślady, że tu przed chwilą ktoś spoczywał, a gdzieniegdzie murawa wyglądała jakby od słońca wypalona; była to krew świeżo zaschnięta.

— Gdzie ten ranny? — zapytał zafrasowany Stanisław— może pobłądziłaś Marysiu? albo ci się przywidziało.

— Gdzieżtam, kochany tatusiu, tu był niedawno, tu go widziałam, zapewne skrył się gdzieś w krzaki.

— Są ślady krwi, widać, że sobie rady dać nie może — powiedział Stanisław — musi być niedaleko, szukajmy! Oboje obchodzili wikliną dokoła łąkę, wołali, prosili, wreszcie Marysia krzyknęła.

— Tu jest, tu! Jezus Marja, ratujcie!

Zawiślak przybył czemprędzej. Wśród krzaków, na bujnej trawie, spoczywała postać człowieka. Był to chłopiec nie więcej jak dwudziesto-kilko-letni, w ubiorze powstańczym, blady jak chusta; zdaje się że spał, albo leżał omdlony. Dokoła broczyła się krew i zarumieniła trawę. Obok niego leżał karabin i torba.

Stanisław uklęknął, Marysia rozwiązała zawiniątko i na rozkaz przyniosła wody w kapeluszu ojcowskim. Ten nachylił się nad rannym i lekko począł obmywać zbroczoną twarz.

Ranny otworzył oczy, popatrzył niemo na twarz Zawiślaka i cichym powiedział głosem:

— Zlitujcie się, i nie bierzcie mię ztąd człowieku... już mi nie wiele do śmierci... weźcie pieniądze, co mam na piersiach w koszuli..... i odejdźcie.

Serce się ścisnęło poczciwemu wójtowi na takie niedobre posądzenie, łza mu stanęła w oku, ale kiedy ranny znów zamknął oczy, począł go ze smutkiem rozbierać. Bok prawy, ręka i noga lewa były przeszyte kulą. Krew jeszcze się sączyła. Stanisław rozdarł płachtę, uskubał na prędce drobnych szmatek, obmył wodą rany, przyłożył szarpie, i polał wodą twarz leżącego. Ten ocknął się, otworzył oczy, a Stanisław powiada:

— Nie bójcie się paniczu, my nie Moskale, ani źli ludzie, myśmy was przyszli poratować.

Przyłożył następnie butelkę do ust chorego, a ten chciwie kilka razy pociągnął. To go otrzeźwiło, napił się potem zimnej wody, przeprosił Stanisława, zjadł trochę chleba z masłem i próbował się podnieść, co mu jednak było trudno bez pomocy Zawiślaka.

— A gdzież inni ranni? — pyta po chwili Zawiślak.

— Muszą być wyżej, pewnie ich już zabrali do dworów, albo do więzienia, bo przeszli Wisłę pod tamtą wioską.

Stanisław nie pytał więcej, gdyż widocznie rozmowa męczyła rannego. Pomału ściągał z chorego ubiór powstańczy, a wdziewał chłopski. Marysia tymczasem obchodziła dokoła kępę, szukając, czy jeszcze jakiś nieszczęśliwy nie potrzebuje pomocy; nie znalazła jednak nikogo. Powstaniec już był

przebrany. Oboje poprowadzili, a właściwie ponieśli go prawie do wozu. Stanisław usiadł na przodzie; za nim ranny razem z Marysią, na miękkiem posłaniu ze słomy i siana, i wszyscy troje wyruszyli ku wiosce. Jakby jakiemś poczuciem wiedziony Zawiślak, nie pojechał zwykłą drogą, i krótszą i lepszą, ale zrobił wielkie koło ku wiosce. Istotnie, kiedy jechali do domu, widać było, jak gromada ludzi z kijami, drągami i cepami, szybko posuwa się od wioski. Na przodzie w zawiesistej czapce, długiej kapocie sukiennej, szedł jakiś człowiek szerokim krokiem, i ustawicznie coś machał rękami, i pokazywał, i odwracał się do tych, co szli za nim.

— To zapewne podwójci tam idzie — powiedziała Marysia — coś się stać musiało dziwnego.

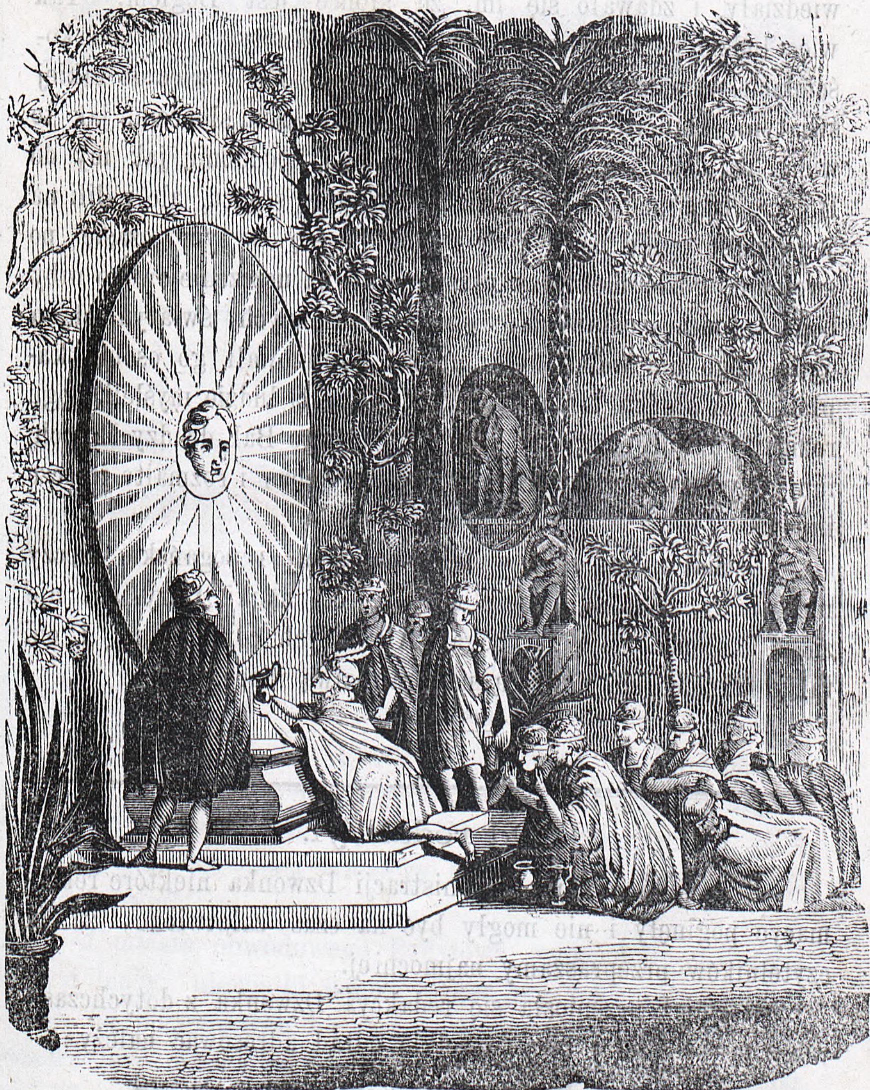
— Zgadłaś Marysiu, to nikt inny tylko Podrywka — niespokojnie odrzekł Zawiślak. — Zasłoń rannego tak, aby go nie widzieli.

Szczęśliwie zajechali do chaty i tu dopiero dowiedzieli się, że ich domysły były sprawiedliwe, i że w tym czasie coś niezwyczajnego się zdarzyło. Bowiem cała prawie gromada wyruszyła z domów. Kobiety, dzieci wszystkie niemal, stały na końcu wioski i spoglądały ciekawie ku Wiśle: parobcy i gospodarze, jedni poszli za Podrywką, drudzy spokojniejsi i rozumniejsi, zostali w wiosce, stanęli za kobietami, rozmawiali żywo, śmiali się i czekali co to z tego dalej będzie. Już od samego rana dziwne rzeczy działy się w wiosce. Wartownicy, Jan Gubryś i Wojciech Hebda, zatrzymali jakiegoś podróżnego, który się bardzo odgrażał i szwargotał po niemiecku, a był ubrany jakby jaki wielki urzędnik. Jan i Wojciech nie bywali nigdy w mieście; toć i nie znali, co tam kto znaczy i jak się ubiera. Więc choć mały ów człowieczek w czapeczce krzyczał i powiadał, że on ich naczelnik, że ich do kozy każe zamknąć, nie pytali na to, jeno zaprowadzili go do podwójciego. Podrywka stał właśnie w progu chaty i skoro tylko zobaczył czapeczkę z złotym sznurkiem i orzełkiem, począł się niziutko kłaniać, i kłaniał się ustawicznie aż do samej ziemi. Zmiarkowali wartownicy, co się święci i bez długiego namysłu dali drapaka, że się aż kurzyło drogą.

Nim się spostrzegł naczelnik, a był to niemiec, który po po polsku nic prawie nie umiał, już ich widać nie było; ochłonął z przestrachu i krzyczy:

— Ty klop, warta, halt! ja do aresztu trze kaszu zamykać! (Dalszy ciąg nastąpi).

CZCICIELE SŁOŃCA.



Nic dziwnego, że w bardzo dawnych czasach, kiedy jeszcze ludzie pogrążeni byli w ciemności i zabobonach,

kiedy nie znali prawdziwej nauki Chrystusa, czcili rozmaite bałwany i bóstwa, a pomiędzy niemi i słońce. Każdy pojmuje i czuje, ile dobrodziejstw mamy od słońca. Ono ogrzewa ziemię, przyczynia się do wzrostu roślin, sprawia, że mamy dzień, że się widzimy wzajemnie, słowem dobrodziejstwa, jakie za jego pomocą otrzymujemy, są niezliczone i nieocenione. — Ale my wiemy, że Bóg stworzył słońce, a to ludy dawne nie wiedziały, i zdawało się im, że słońce jest Bogiem. Tak więc ludzie ci stawiali mu świątynie, kościoły, a w tych kościołach wymalowane było słońce. Przychodzili więc do takiej świątyni, kłaniali się przed owem malowanem słońcem, jak to widać na obrazku, modlili się do niego, podobnie jak my do Boga. Inni znów nie stawiali kościołów słońcu, ale palili na jego cześć ognie na górach i modlili się w tym czasie po swojemu; gdzie niektórzy utrzymywali na uczczenie owego niby boga słońca, ustawiczny ogień w osobnych świątyniach, a ognia tego nie wolno było zagasić, i pilnowali go osobni kapłani. A słońcu tomu, czyli jak sobie ci ludzie myśleli, bogu rozmaite dawali nazwiska: jedni nazywali go Bal, drudzy Moloch, inni Ozyris, to znów Mitras, Apollo, Febus i rozmaite jeszcze imiona.

Dzisiaj z nas nikt w takie zabobony i pogańskie rzeczy nie wierzy, choć są jeszcze narody, co nauki Chrystusa nie znają i słońce mają za boga. Ale i tych coraz mniej, i oni także wkrótce się nawrócą na prawdziwą wiarę.

Od redakcyi.

Z powodu zmiany administracji Dzwonka niektóre reklamacye poginęły i nie mogły być na czas załatwione, za co czytelników przepraszamy najmocniej.

Również przeniosła się redakcya Dzwonka z dotychczasowego mieszkania i listy wszelkie odtąd adresować należy:

Redakcya Dzwonka ul. Kopernika liczba 28.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej."